

Agata Araszkiewicz

Fantom obywatelstwa światowego a pedałowanie

W styczniu tego roku paryski Pałac Elizejski był miejscem mocnej i wzruszającej sceny, po wielokroć przywoływanej w gazetach, internecie i telewizji. Christiane Taubira, minister sprawiedliwości, złożyła dymisję, pisząc na Twitterze: „odwaga dająca siłę do oporu [fr. *resistance*] oznacza, że czasami musisz zostać, a czasami, że musisz odejść”. Najbardziej wyrazista ikona francuskiej lewicy za rządów Hollande’a, profesor ekonomii, urodzona we francuskiej Gujanie, w niespełna cztery lata swej kadencji zdążyła się silnie zaznaczyć na scenie politycznej. Jako dawna działaczka ruchów dekolonizacyjnych nie tylko stworzyła przegłosowaną w 2001 roku ustawę, uznającą niewolnictwo za zbrodnię przeciw ludzkości. Taubira, czarna kobieta w randze ministra, zakochana w literaturze i uznająca za swych patronów Nelsona Mandelę, Arethę Franklin, a także Monteskiusza, to przede wszystkim symbol sukcesu kampanii politycznej „małżeństwa dla wszystkich”. Od 2013 roku we Francji prawo do zawarcia związku małżeńskiego i adopcji dzieci mają wszystkie osoby dorosłe bez względu na orientację seksualną. Oczywiście ten wielki sukces lewicy przysporzył czarnej minister również wielu wrogów. Zdarzało się, że podczas jej publicznych występów wyciągano transparent z napisem „Y a bon Banania” (Mniam, mniam,

Banania), nawiązującym do słynnej kolonialnej i rasistowskiej reklamy sproszkowanego kakao, powstałej w 1915 roku. Czarna, egzotyczna twarz chłopca w czerwonej czapeczce w stylu fezu, delektującego się ciepłym płynem, to francuski „murzynek Bambo” – zna ją każde dziecko (dziś już może bardziej z legendy). Taubira, której przydzielono ochronę policyjną, na liczne rasistowskie ataki (np. tłumy publiczności jedzące ostentacyjnie banany podczas jej oficjalnych podróży po kraju) odpowiadała płomiennymi przemowami w sejmie. Powodem jej dymisji był sprzeciw wobec propozycji ustawy odbierającej francuskie obywatelstwo (Francja jest jednym z krajów, które uznają podwójne obywatelstwo) terrorystom powracającym z Syrii. „Najważniejsza jest wierność sobie – komentowała – a ostatnie słowo musi wynikać z zasad etyki i prawa”. Te zasady, według niej, proponowane prawo łamie. W styczniowy poranek Christiane Taubira ostatni raz żegnana na schodach siedziby prezydenta Francji, w obiektywach wielu wymierzonych w nią kamer, ubrana w szarą pikowaną kurtkę i z gołą głową, uczesana w warkoczyki afro odjechała na rowerze...

Tymczasem polski minister spraw zagranicznych Witold Waszczykowski niewiele wcześniej udzielił wywiadu niemieckim dziennikarzom, w którym tłumaczył nową politykę Prawa i Sprawiedliwości. „Poprzedni rząd – grzmiał – wdrażał lewicową koncepcję, jak gdyby świat musiał zgodnie z marksistowskim wzorcem poruszać się tylko w jednym kierunku: w stronę mieszanki kultur i ras, świata rowerzystów i wegetarian, który stawia jedynie na odnawialne źródła energii i zwalcza wszystkie formy religii”. W polskich mediach i internecie zawrzało – „cykliści i wegetarianie” stali się symbolami wrogów publicznych nowej polskiej klasy politycznej. Zostawmy na boku pewien mętnik ideologiczny w wypowiedzi polskiego szefa dyplomacji (trudno nazwać politykę poprzednich rządów PO „marksistowską”) i skupmy się na interesującej metaforze samego ruchu, której symbolem staje się rower. Jasne jest przecież, że w głowie ministra Waszczykowskiego większość problemów, z którymi mierzyła się w swej karierze politycznej Christiane Taubira, nigdy nie powstała, ale niech to nas teraz przez chwilę nie frasuje. W całej tej (leksykalnej) sytuacji najbardziej interesująca jest niechęć obecnej ideologii politycznej do wszelkiego „ruchu”: „to nie ma nic wspólnego z tradycyjnymi polskimi wartościami” – podsumowywał swe tezy Waszczykowski.

Rower nie jest tradycyjnie polski ani wegetarianizm, ani mieszanka kultur i ras. Jasne się staje, że nie o rower tu chodzi, ale o lęk przed wszelką nowoczesną dynamiką społeczną. Tradycyjne polskie wartości w tym wydaniu oznaczałyby zastygnięcie i unieruchomienie, niechęć do podjęcia wysiłku zmagania się z nowoczesnością (przed którą przecież nie ma chyba ucieczki). Czy zatem, parafrazując nieco Jana Sowę, nie należałoby nazwać tak rozumianych „polskich wartości” fikcją i urojeniem? W książce, którą na łamach tej rubryki już przywoływałam, *Fantomowe ciało króla*, Sowa zajmuje się studiami nad polską wyobraźnią, a zwłaszcza jej najbardziej konserwatywnym składnikiem – fantazmatem sarmackim. Był on przede wszystkim ukierunkowany wstecz, zwrócony do mitycznej „złotej przeszłości”, którą (długofalowo) za cenę utraty państwowości próbowano na wszelkie sposoby konserwować. Wyobraźnia sarmacka przedkładała zaścianek nad wszelką formę postępu, nie tyle unikając ruchu, ile dokonując dewastacyjnej, kulturowej i gospodarczej ekspansji na przynależące jej tereny wschodnie. Najważniejszym

i najbardziej rozbudowanym rytuałem sarmackim była ceremonia pogrzebu; owoskupienie na momencie śmierci niebezpiecznie sąsiaduje symbolicznie z ostateczną kolizją sarmackiej wizji politycznej – rozbiorami i utratą państwa. Sarmackie mity, a przede wszystkim mit tolerancji, różnorodności, supremacji kulturowej i równości, zostają w tej analizie całkowicie zdemistyfikowane. Sarmatyzm jest jak połatany sztandar Polaka-katolika, szukającego obrony przed własnym poczuciem zagrożenia, zamienionym w przywidzenie o wyższości stagnacji nad żywą dynamiką społeczną.

Nie wiem, czy Waszczykowski jest świadomym kulturowym Sarmatą, ale interesuje mnie tutaj jego fascynacja zastygnięciem, uwiedzenie przez metaforę zatrzymania i bezruchu. Polskie społeczeństwo się zmieniło i uczestniczy w nowoczesności choćby przez kulturę masową, podróże, wszelkie formy edukacji społecznej (przez kulturę, sztukę, literaturę). Nowe polskie elity polityczne uznają tylko wycinek tego społeczeństwa – białą, katolicką, heteroseksualną rodzinę nuklearną. Model takiego rozumienia władzy politycznej jest szalenie wycinkowy i wykluczający. Nie mówiąc już o tym, w jaki sposób kastruje on prawdziwą polską tradycję intelektualną.

Aby nie być gołosłowna, podam przykład choćby fascynującego projektu „obywatelstwa światowego” Marii Kuncewiczowej. Jedna z najważniejszych polskich pisarek XX wieku doświadczyła losu właściwego pokoleniu dotkniętemu drugą wojną światową. Ucieczka, uchodźstwo, emigracja na długo wpisały się w jej życie. Doświadczyła na własnej skórze „ruchu” wygnania. Po wojnie, kiedy mieszkała w Londynie i była członkinią światowego Pen Clubu (którego została też prezeską), napisała apel do Organizacji Narodów Zjednoczonych z prośbą o „zrewidowanie jej stosunku do uchodźców”: „pozвольcie uchodźcom zabierać głos w kulturalnej przebudowie świata. [...] Przez ograniczenie wolności podróży, wykształcenia i zatrudnienia nie zmuszajcie bezpieczeństwa do starań o nową narodowość. Siła zdarzeń narzuciła im poczucie przynależności do zespołu większego niż naród. Zaiste, historia uczyniła ich obywatelami świata i za takich powinni być uznani”. Apel opublikowano w 1949 roku jednocześnie w londyńskim i nowojorskim „The Times”, a podpisało go całe grono wybitnych intelektualistów europejskich, między innymi: Bertrand Russell, George Bernard Shaw, Aldous Huxley, John Dos Passos, Roger Martin du Gard i inni. Albert Einstein prócz entuzjastycznych pochwał nadesłał też mnóstwo rad, proponując odwołanie się do paszportu nansenowskiego, przyznawanego bezpieczeństwa już od lat 20. ubiegłego wieku. Jak nietrudno się domyślić, ideał obywatelstwa światowego szybko okazał się mrzonką. Kuncewiczowa nazwała go „fantomem” – czyli czymś o niepewnym statusie, co może wydawać się nie z tego świata, a jednak wprawia ten świat w ruch. W ruch wyobraźni i zmiany.

Fantom obywatelstwa światowego to główny temat biograficznej prozy Kuncewiczowej zebranej w tomach *Fantomy* i *Natura*. Przywołując wspomnienia, pisarka pozostaje wrażliwa na aktualności epoki powojennej, co rusz przytacza informacje o rozruchach czy falach uchodźców – dużo pisze o wyznaczających dynamikę Europy powojennej uciekinierach z Polski czy Węgier (brzmi to bardzo znamienne w kontekście obecnego ksenofobicznego dyskursu obu krajów wobec uchodźców). Opowiada tam także o tym, jak bardzo całe życie chciała się pozbyć obciążeń związanych

z kobiecą kondycją. „Żona! Matka! Słowa jak kamienie młyńskie, ciągnące za sobą szlam umarłych marzeń” – pisała. Przekuwała wzory małżeństwa i rodzicielstwa na swoje potrzeby. Obywatelki świata to kobiety utożsamiające się z czymś wyższym niż poddaństwo mężczyznom. Kuncewiczowa całe życie świetnie znosiła ruch i podróże, pisała z upodobaniem o swych „domach-namietach”, o łatwości zadomawiania się w nowych krajobrazach i miastach.

Warto dziś przypomnieć fantom „obywatelstwa światowego”, ideału, który zapewne okazałby się bliski i dla Christiane Taubiry. Nawet jeśli panu Waszczykowskiemu nic nie mówi. No, ale cóż. W odpowiedzi na to może można sparafrazować słynny niegdyś PRL-owski, nieco mizogiczny żart rysunkowy Andrzeja Mleczyki: „Obywatelu, nie pieprz bez sensu”, i wprawiając wyobraźnię w ruch, zawołać: „Obywatelu, pedału z sensem!”.